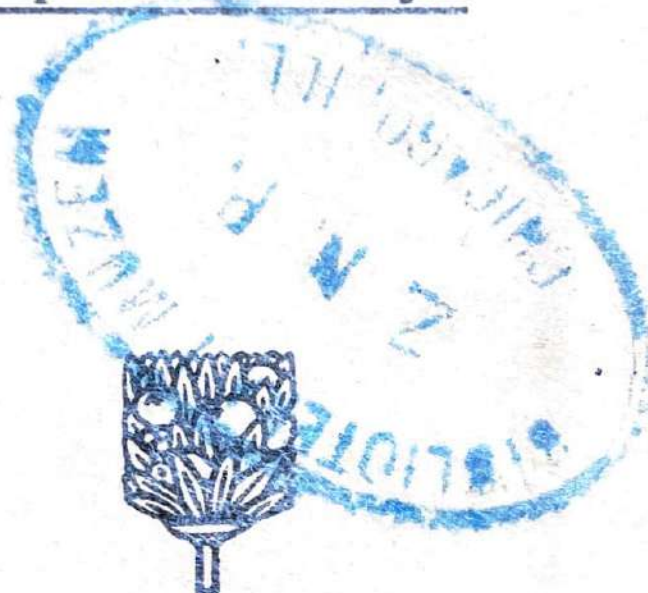


WRZESŃNIA

Dramat w trzech aktach

Napisała St. Laudyn



Nakładem Autorki

Drukiem Dziennika Narodowego, 1168 Milwaukee Ave.

CHICAGO



OSOBY:

Dzieci płci obojga od lat 6 do 14.

Pietrek — lat 13, syn zamożnego włościanina.

Hanka — lat 14, silna, hoża, śmiała.

Zych — lat 12, żywy, sprytny, drwiący.

Marysia — 7-letnia, śliczna dziewczynka, wątła, blada.

Nauczyciel — lat 30, blady, chudy, nerwowo.

Mieszczanin — lat 40, spasiony, zamożny, zuchwały.

Strażnik — lat 45, flegmatyczny, ociężały, chłodny.

Wieśniak, Maciej Zych — lat 40.

Robotnik — lat 28.

Lekarz — lat 40.

AKT I.

(Przód sceny przedstawia drogę szeroką, biegnącą wśród lasu. Za drogą, wgląd nieco, pagórek nieduży, na nim krzyż, dalej polanka, z boku las. Gromadka dzieci zasapana, niespokojna, trwożna: dziewczynki i chłopcy, w wieku od 6 do 14 lat, ubrane schludnie, lecz biednie, niektóre mają świeżo rozdarte ubranie, tu i owdzie pokaleczone twarze, lub ręce ze śladami walki i pobicia. Chwila milczenia, nasłuchiwania, potem zbiegają się wszyscy, skupiają. Występuje naprzód chłopak energiczny, smagły, zawzięty, śmiejąc się urągliwie, z tryumfem):

PIETREK. A co?—Uciekliśwa... Cha, cha... Uciekli... Niech se sam gada teraz modlitwę w tym ich pieskim szwargocie... Niechta...

JEDNO (z dzieci). W tym pieskim jęzozrze — cha, cha...

DZIECI. Cha, cha — (śmieją się, cieszą i poszturchują).

PIETREK (podniecony). Nie damy se —nie?... Co?... Nie damy!... (Czeka jakby odpowiedzi, dzieci naraz zaleknione trochę, czy zmieszane, kupią się gromadkami, popatrują jedne na drugie, znać niezdecydowanie jakby. Chłopak mierzy ich ostro oczami, po chwili z mocą):

PIETREK (nieco urągliwie). Boita se—
co?... Skóra cierpnie, jeszcze boli?... Boita
se... (śmieje się i macha ręką pogardli-
wie). A bo co — kupowana?... Poboli — ta
przystanie... Zedrom jedną, to ci druga na-
rośnie — ech... A nasze górcom będzie... Ja
tam se nie boje... niech łojcują — niech...
A nie ustąpię — za nic w świecie. Dojść już
mam, tej niemieczyny... siadła mi w grdyce
— i wyplunę... Jak Bóg żywy — wyplunę—
ot... (czyni energiczny ruch).

DRUGI (też starszy, stając obok, za-
wzięcie): Ma Pietrek racyjom... A niech...
Psiekrwie... Ja se tyż nie boje... niech ta
ich wydusi... (wysuwa się kilku, ze śmie-
chem, kpiąco):

GŁOSY. A niech... a niechta...

INNY (śmieje się i targa skórę rąk
swych): Skóra własna... Czego ma się ta
bać?... Nie kupiona... Hola... nie damy
se—nie!... Zedrom te, narosnie druga... A
pacierza po niemiecku mówić nie będziewa...
Zgiń, przepadnij... zmoro... nie będzie-
wa...

GŁOSY (rozmaite, ożywienie, gwar):
Nie będziewa... nie... nie... (Dziewczynki
skupiają się w gromadkę osobną, radzą i po-
rozumiewają się, po chwili jedna ze starszych
występuje śmiało):

HANKA. My tyż nie będziewa... My
tyż se nie boimy...

GŁOSY (cienkie, dziecinne, zawzięte):

Nie, nie... nie...

CHŁOPCY (ze śmiechem, nieco pobłażliwie): Zuchy dziwki... Zuchy...

ZYCH (drwiąco i złośliwie): A kiej ociec sprazom... To se pójdzie ta do niemieckiego pacierza... hej...

GŁOSY (w gwarze): Nie... nie... nie sprazom... nie... nie...

HANKA (podskakuje do niego zaperzona): Kłamiesz... Zych... nieprawda to... Sam pójdzie pierwszy do niemca... Nie... my... Nie — my... Słyszysz?... Kiej wróżysz, jak puszczyk... Fúj...

PIETREK (rozdziela ich, uspakajająco). Cichoj, Zych... nie wydziwiaj... Godne dziewczęta... nieprawda... Kiej se rzekło — nie, to nie! (podnosi hardo głowę) Nie — pójdziewa!... My tyż gromada, kiej ojcowie... He... Oni se pacierz mówiom po polsku—my chcemy tyż, jak oni... Nie będziewa wyłgiwać się przed Panem Bogiem (podnosi rękę w górę). On patrzy i widzi... Nie będziewa se modlić po szczekanemu...

GŁOSY (zjadliwe, zawzięte): Nie... nie... nie...

ZYCH (twardo). Tak i powiemy... Kaj ojcowie — i my tak...

(Słychać łopotanie nagłe skrzydeł, czarna chmura ptactwa przesłania światło, kracząc złowroźnie, dzieci rzucają się w roz-

sypkę, które klaszczą w dłonie, dla postrachu, inne krzyczą, inne ciskają w górę gałęzie i kamyki, wołając):

GŁOSY. Huź-ha... Wrony, kruki... A kysz... A kysz... Rozbójniki, złodzieje... A kysz... Huź-ha... huź...

MARYSIA (zapatrzona w górę). One se coś wietrzą... Niecnoty... Huź-ha... A kysz... A kysz... Oj, czarnota... A kysz...

.(Chłopcy rozbiegają się dalej, w las, niby goniąc ptaki, dziewczynki też niektóre biegną za nimi. Błada, mała, jasnowłosa dziewczynka, o ślicznej twarzy i oczach wpatrzonych w niebo, mówi cicho, zamyślona, głosem melodyjnym, jak śpiew):

MARYSIA. Co tyz se one mówiom?... Co tak okrutności ksycom?...

CHŁOPAK (przyskakuje, żartując). Ksycom, co dziś bieda Maryśce będzie... taka wielka bieda... Kiej matula zbijom może... cha, cha...

MARYSIA (odstępuje zalekniona). O, joj... O, joj... (po chwili pogodnie). Matula... (z uśmiechem, radośnie). Kiej nigdy nie bijom... (miłośnie) Ma-tu-la... Ma-tu-la... moja...

CHŁOPAK (przekornie). A teraz zbijom... zbijom... kiej—tak...

(Marysia chmurzy się naraz, krzywi, zbiera się jej na płacz, podbiega Hanka oburzona i tuląc ją do siebie):

HANKA. Nie wierz jemu... nie wierz, Maryś... (do chłopca). Zberek, niecnota... idź sobie... On żartuje, Maryś... Kiej tak...

CHŁOPAK (odbiegając ze śmiechem). Płaksa, Maryś... płaksa... A fe kwoczki małe... ku-ku-ry-ku... A fe (odbiega).

HANKA (do Marysi, tuląc ją przekonywująco): Cicho, Maryś... Czego... A wstyd... Nie zbijom matula — a za co? Dość se nas Niemcy w szkole nazbijajom... (odwija rękaw i przygląda się). Jeszcze se nie zgoiło... o jej...

MARYSLA (wspina się na palce, dmucha, chucha, tkliwie). O joj... o joj... Kiej boli, Hanuś moja... co... kiej boli bardzo...

HANKA (obojętnie, spuszcza rękaw). A boli... ta—co... Ot poboli i przestanie...

(Z lasu słychać krzyk ptasi, łomotanie gałęzi krzyki dzieci, po chwili wbiegają znów na widownię chłopcy z kijami, podnieceni):

CHŁOPCY (głosy rozmaite). Rozwydrzyła się czarnota... Biję... z gniazda małe wyrzuca... Chodźta... dzieuchy... Rozpedzić trza te rozbójniki... Chodźta... (ciągną je lekko).

MARYSLA (opierając się). Ja se boje... Puść... Nie chce... nie...

CHŁOPAK (odbiega). Baba... cha, cha... trusia mała...

(Inne dziewczęta odbiegają z chłopcami, mniejsze siedzą w trawie).

MARYSIA (w górę zapatrzona). A takie duże... wielgachne... A ksycom... (zatyka uszy, po chwili). Słoneczko zakryli... (wyciąga ręce). Słonko... Słoneczko... ty złociuchne moje... Ach... ty... (przymyka oczy, stoi zasluchana, uśmiechnięta — cicho bez ruchu).

GŁOSY (rozmaite, dzieci częściowo wybiegają z lasu): Poradzili se... poradzili... Huź... (klaszczą) A zasie... A precz... A kysz... huź...

MARYSIA (budzi się ze swego upojenia, Zych przebiega i potrąca ją). Wypędzili — co?... A powiedzta... Zych... kiej dobry bądź...

ZYCH (śmiejąc się, zawadjacko, chwytając ją, jakby w tan, ona wyrywa się, on dalej): A-jaże... Ty kureczko... A-jaże... Nasze prawo góróm... A-jaże... (ciągnie ją za rękę). A nie pódziesz, ty... psepiórecko... po łonce se gonić... co?... Nie pódziesz?...

MARYSIA (skuzona, ale trwożna). A niemcy — kiej usłyszom... Zych — co?

DZIEWCZYŃKA II. (podbiega, z przerażeniem): Przyjdom... i pobijom — o jej... jej...

DZIEWCZYŃKA III. O la Boga... la Boga...

HANKA (wbiega, ogląda się trwożnie, nasłuchuje. Wszyscy patrzą na nią strapieni, ona — opryskliwie): Czego — wy?... taj —czego?... Ot...

CHŁOPAK (ze śmiechem). Kiej Hanka czegoś upatruje... (śmieje się) Kiej nie posiała, a szuka...

HANKA (skupiona, wskazując na prawo): Cicho!ta... Widzi mi się... (urywa i niby gniewna). Czy ja wiem?... (odwraca się).

GŁOSY (trwożne, z naleganiem, obstępniąc ją): Co, Hanko?... Co?... Mów-ta... powiedz... Co sumujesz?... Gadaj ta... A gdzie... co? Co ci się widzi?... mów-ta... mów...

HANKA (posępnie, ciszej). Widzi mi się (po chwili ostro, krótko). Kaj niemcy — psyjdom może... tu... (zamieszanie).

CHŁOPCY (stropieni). Niemcy?... Czego!ta?... A czemu?... Co?...

HANKA (jeszcze więcej). Bić bedom... Ot co... jak to oni... wiadomo...

(Zapada milczenie nagłe, dzieci rozbiegają się w strony rozmaite, szepcą, nasłuchują, inne stoją ciche, trwożne. Po chwili znów się zbiegają do kupy, znać pomieszanie, niepewność. Marysia staje na stronie sama,

zapada w zamyślenie dziwne, jakby bezwiednie, po chwili).

MARYSIA (cicho, do siebie): Kaj idom... (wysłuchana, jęklawie) Idom...

GŁOSY (trwożne, nagłe): Kto, Maryś?... Gdzie?... Kto?... O la Boga...

HANKA (staje przy niej, inne też otaczają): Przywidziało se, Maryś... Kaj bredzisz... Gdzie?... Kto?... Mów-ta, mała... co?...

GŁOSY (j. w.). Gdzie? Kto?... Mów-ta... mów... Skąd?... Co?...

MARYSIA (wciąż zasłuchana, bez zmiany, cicho): Kaj idom... Kaj idom... (zaczyna drżeć jakby, ręce jej opadają, główka chyli się nisko).

HANKA (obejmuje ją i tuli). Maryś... co tobie?... La Boga... Maryś... Kiej se boisz... mów... Coś ty taka?... A mów-że.

MARYSIA (zapatrzona, wolno, cicho). Matula mi mówili, kaj ojcowie na wojenke śli... to se na ziemi pokładli i posłuchali... kaj niepsyjacieli idom... (mocniej). I ona se zawse całuską prawdę im powiedziała... nasa ziemia... kochana...

GŁOS I. (przyciszony). To se legniem i posłuchamy...

GŁOSY (rozmaite). Legniem... legniem... to — co?... I zobaczewa... (układają się — jedni zupełnie, inni przysiadają, lub przycupają).

PIETREK (poważnie). Ziemia kaj prawdę mówi... nie kłamie...

MARYSLA (układa się koło pagórka, mówi z pieśczętą). Nasza ziemia... Kiej rodzona... nie okłamie... nie...

GŁOSY (radośnie). Nasza... nasza... nie zradna... rodzona... ta swoja... nasza...

(Leżą cicho; z lasu dochodzi świergot ptactwa, szum liści idzie górą. Po chwili głosy przyciszone, wesołe, śmiejące się).

GŁOSY: 1) Chrabąszczyki tak se ruchajom... Kiej nic nie słyszeć...

2) Koniki grajom... hej... kiej zwarzowane...

3) Tak mnie te trawki łaskocom po nosie... po ocach... oj... do ucha se znalazły...

4) A takie wielgachne... kiwajom se nademno... kiwajom...

5) Kiej niemiec psydom — nie znajdo ta nas w trawce... chi, chi...

6) Nie dojrzy nas... nie... Nie wyda se swoja ta... nie...

7) Hej... Słoneczko prazy... Kaj prazy... gorąco... O-jej...

PIETREK (siada, ociera pot). Nie... Nic nie słyszeć. Maryś... nie... Ta coś buczy... coś ruchu se... ćwirka se gdzieś... Ej, Maryś... zdawanie...

MARYSLA (siada wolno, zasłuchana, zapatrzona, mówi cicho, wolno, sennie). Gra...

taj gra... Kiej muzyka pikna gdzieś—tam gra... cicho — cichusko... (po chwili mocniej, zasłuchana), O dzwon duży — bum... bum... (ciszej). Żałosny taki... A straszny —bum... bum... Cichojta... (podnosi rączki). Znów gra... kieby organy w kościele... (zasłania sobie oczy). A jarzy se to... a jarzy... o joj... (po chwili cicho). A głos... kiej Najświętsza Panienka woła... kiej woła... (patrzy w niebo).

DZIECI (popodnosiły się trochę, wpatrzone w nią, zdumione, naraz w jeden głos). O Najświętsza Panienka...

MARYSIA (w dalszym ciągu zasłaniając naraz oczy rękami). Gra... ciągiem gra... A ta ziemia huczy tak... jency... kiej płace... (naraz odsłania twarz, wyciąga ręce, zaczyna łkać i posuwa się na kolanach do krzyża, wołając jękliwie, z płaczem). O Najświętsza... ratuj nas... ratuj...

(Chlipanie ogólne, dzieci płaczą, ściągają czapeczki z głowy, wyciągają ręce).

GŁOSY. O Najświętsza... ratuj-ta... ratuj... (po chwili za jednym porywem intonują śpiew mocny, silny, wzruszony). "Serdeczna Matko..."

(Śpiew cichy z początku rośnie i potężnieje, dzieci przejęte, wyciągają ręce, pochylają głowy, słysząc też łzy. Drogą boczną, z lasu, wychodzą, ostrożnie, rozglądając się trzy postacie. Ubrani zamożnie — dwaj mie-

szczanie, trzeci — strażnik. Stają niewidzialni i chwilę patrzą, zamieniając złe, zawzięte spojrzenia. Mają w ręku mocne, grube laski, które opierając o ziemię — próbują siły i giętkości. Dzieci naraz dostrzegają ich i śpiew rwie się, niektóre się porywają do ucieczki. Marysia rozśpiewana, zapatrzona w niebo i krzyż, nie widzi, nie słyszy, śpiewa wciąż słabo, cieniutko).

PIETREK (nagle ostro). Ani se rusz... śpiewać... Pokaranie boskie... Słuchajta... Ani se rusz...

(Dzieci wracają do postawy poprzedniej, śpiew podnosi się znów silny. Niemcy, rozwścieczeni, rzucają się z impetem na działwę, bijąc laskami).

NAUCZYCIEL (chudy, pieniący się). A-to wy tak... Wy, polskie świnię... To wam śpiewy w głowie... Zabawa... Szkoły się nie chce... Uciekliście... Czekaście... Ja wam tu śpiewy dam... pokażę... ha... (bije laską na wszystkie strony, okłada, goni, chwytą dzieci).

MIESZCZANIN (opasły, sapiący, rozjuszony, okładając). A to... verfluchte nasienie... (bije). Na... masz... popamiętasz... Donner wetter... Będzie to jeszcze ryczeć... krzyczeć— ha... A—masz... masz...

(Krzyk dzieci, jęki, wołania, płacz, zamęt).

STRAŻNIK (goni, pędzi, najgrawa się, śmieje się niby, z pasją). Polskie pacierze... Słyszeli... czego ta im się zachciewa... urwisy... djablęta... ha, masz... A—do szkoły... to nie chcesz... do szkoły... Wy — polskie buntowniki... To—skandal... To —kulturkampf... to—kryminał... Ja was nauczę... To—reichs—zbrodnia... To—Majestat—obraza... Do szkoły nie chcą — a tu swoje polskie pacierze... Ha—psiawia-ra... niemiecka fajna szkoła dla tej polskiej świni... i nie chce... Sehen sie... nie chce... Zapłacić za to — kara będzie... do ciupy wy... do aresztu pójdziecie...

NAUCZYCIEL (spocony, zziębnięty). Buntowniki... ha... Zgnijecie wy w kryminale... wy i wasze ojce... i wasze matki... Hoeren sie... zgnijecie... Słyszycie... od mieńcy... djaby...

MIESZCZANIN (okłada chłopca kijem, naraz wypuszcza go z krzykiem, ten zmyka do lasu). Oj... oj... Verfluchte Kerl... Oj... oj... Ukonsił mój palec... (trzyma się za palec). Hoeren sie... Ukonsił... odkonsił... O jej... kryminał... Das ist Blud... Sehen sie... ha... Diese polnische Kerl...

NAUCZYCIEL. So... so... Ich habe gesagt... To jest wściekły pomiot... czartowski nasienie... Ha... porozbiegała się hołota... ani jednego... Mają za swoje —

dostali... Jutro dołożymy im w szkole... zobaczymy, czyje na wierzchu... (rzuca się).

STRAŻNIK (zdumiony, ukazuje Marysię, która przyczołgawszy się do krzyża, objęła go mocno i wciąż śpiewa cichutko, zapatrzona w niebo). Sehen sie... diese... to pewno najgorsza... Sie bleibt... Verstehen si... bleibt...

NAUCZYCIEL (wpatrzony, niby śmieje się, zajadle). Znam takie... To najgorszy Kerl... Takie to podjudza, uczy... A zajadle to... Sehen sie — ani drgnie... (zdumieni patrzą).

MIESZCZANIN (naraż patrzy na swój palec i rzuca się, jak opętany). A moja krew... Mój blud... Dam ja jej... dam... Te verfluchte polskie szwein... Tak mnie ukonsić... O jej... dam ja jej... dam...

(Biegną za nim obaj, głos dziecka rwie się, zamyka oczy, konwulsyjnie obejmuje krzyż, niemcy wznoszą nad nią laski, trzymają tak chwilę, pastwiąc się, krzyczą dziko).

NAUCZYCIEL. Przestaniesz ty, suko... twój psi śpiew... przestaniesz—co?... Uciekaj, pókiś cała... Słyszysz... a to zasieczemy...

MIESZCZANIN (uderza laską, zajadle). Ja jo bede bić... ja jo bede bić... za

moja krew... Za mój szmerc... (okłada, dziecko cicho jęczy).

STRAŻNIK (powstrzymując go). Uciekaj, pókiś cała... Słyszysz... zum Teufel... Słyszysz... Uciekaj — ty...

MARYSIA (wśród łez). Ja se modłę... Do Najświętszej Paniienki... (zakasłuje się). Ja—zaraz... O zaraz... Moiście wy... Ostawcie mnie... zaraz... Matulu... oj matulu... Nie zabijajcie... Bóg pokara...

(Strażnik cofa się, rusza ramionami, pozostali rozjuszeni).

NAUCZYCIEL (przedrzeźniając). Pokara — pokara... Toś ty taka... Jeszcze to nam grozi... A ty polski pomiot... Widzieliście... Po dobroci to nie chce... Widzieliście... Donner, Wetter... Pójdiesz ty stąd... (okłada laską z pasją, Marysia chyli się ku ziemi, z jękiem).

MARYSIA. La Najświętszej Paniienki... La Najświętszej... Nie boli... nie... Bijcie se... bijcie... O, matulu... Zabijcie... kiej... (urywa, opada).

MIESZCZANIN (bijąc wściekle). Za moja blud... Ha, ty... buntownica... najgorsza... za moją... Na... masz... ty... świnió... djabeł w niej... djabeł to, nie dziecko...

(Obaj odrywają od krzyża, rzucają, biją, dziecko oszalałe znów rzuca się do krzyża, nauczyciel wściekły odwraca laskę głów-

nią i uderza w pierś ją, dziecko z głuchym jękiem pada bez tchu).

STRAŻNIK (stojący na stronie nieczynnie, podchodzi, pochyla się, po chwili). Das ist schlecht... (surowo, do pomieszanych nieco). To pan tak zrobił... Warum? To napróżno... Ein grosces scandal... Warum?... To źle... To nie warto było... Aj... i co będzie teraz?...

NAUCZYCIEL (z pasją). Verfluchte Kerl... A pan skąd wiesz, że to ja?... Co?... Sie... Sie (do mieszczanina sapiącego). Biłście najwięcej... za te — waszą krew... (śmieje się ze złością) której i nie widać wcale... Cha, cha... Krew... (śmieje się zjadliwie). To ja moją krew fuer Vaterland daję... i to codzień... zawsze... od kąd tu jestem... Chorobę już z tego mam... Chorobę — patrzcie... (kaszele do chustki). Soehen sie... (pokazuje krew na chustce) wie ich bin... Co się tu ze mnie zrobiło... (kaszele). Suchoty już tu... (uderza w pierś). Suchoty... z tej podłej roboty dostanę... fuer Vaterland... ja... ja...

STRAŻNIK (przerywając, chłodno, ociężale). Gut... gut... Ale teraz co będzie?... (dotyka zemdlonego dziecka). Ani zipie... O jej... Czy ja wiem... Może i nieżywa...

MIESZCZANIN (maca puls, po chwili). Ist nich todt... Nein... Verfluchte Kerl... żyje... dycha jeszcze...

STRAŻNIK. (j. w. kręci głową).
Schlecht... Sehr schlecht... Co teraz ro-
bić?... Was machen — a?...

NAUCZYCIEL. A niech tu leży ten po-
miot sobaczy... Ja... ja... niech leży...
Co — nam?... Komen sie... idziemy so-
bie...

MIESZCZANIN. Natuerlich... Ja...
ja... wir gehen... Polnische schwein...
Odpoczynij tu sobie... Cha, cha... ruhe
hier... ruhe still...

NAUCZYCIEL (odchodząc, ogląda się).
Psiawiara... opętana djablica... odpocznij
tu sobie... Zum Teufel... polska czarowni-
ca... zawzięta na śmierć... Ha... a to leż...
odpocznij sobie... ha, ha... leż....

(Ochodzą wolno i na zakręcie znikają.
Po chwili z lasu to tu, to tam, ukazują się o-
strożnie głowy dzieci. Ukazują się i chowa-
ją. Po chwili wyskakuje kilku śmielszych na
środek, twarze ostre, zawzięte, wyciągają
pięście w stronę odeszłych Niemców, reszta
dzieci, przeerażone, zapłakane, okrwawione
— wysuwają się nieśmiało).

GŁOSY: 1) Ja wam... poczekajcie...
(wygraża).

2) Zapłacim ta za swoje... Niech ta...
wyróśnim...

3) Rozbójniki... ksywdziciele... poczkaj-
cie...

(Obchodzą polankę, rozglądają się, naraż Pietrek z dzikim okrzykiem grozy, rzuca się do krzyża, za nim biegną inne z lasu też).

PIETREK (stając nad Marysią jak rążony). Maryś... A... Maryś... dziecina... ty... A... (pada na kolana, wybucha łkaniem). Maryś...

(Ogólny jęk i płacz dzieci, jedne padają na kolana, inne wycizgają ręce, inne za głowę się biorą i zawodzą, z grozą i przerażeniem).

GŁOSY: 1) Zabili... kiej zabili...

2) O la Boga!... la Boga... zbóje, bezbożniki...

3) Jezusińku Nazareński... ratuj... kiej ratuj...

4) Kiej ciepluśka jeszcze... (dotyka). O la Boga...

5) A kaj krwie z buzi... (z grozą). Wi-dzita...

6) Oj... oj... La Boga... rety... Za-bita Maryś... zabita...

HANKA (biegnąc ze strony, przypada do niej z jękiem i rozpaczą). Maryś moja... La Boga... Ożyj, gołąbko moja... Ożyj... Kaj my tu... my... swoi... O lalenka... Krasula moja... ożyj... (trzęsą nią, ruszają, podnoszą nieco, ale bez skutku).

HANKA (z rozpaczą). Wody, chłopcy... wody... kaj prędko... Tam źródełko...

(wskazuje) pod lasem... duchem, chłopcy...
(chłopcy biegną w kilku, dziewczęta całują ją, ocierają krew, tulą).

PIETREK (stojący dotąd, jak ośłupiały na stronie, rzuca się naraz naprzód sceny, łamiąc ręce, z wybuchem). O, Maryś... Maryś moja... (po chwili z szaleństwem). Będzieta rwać, kasać... bić Niemcy... Zbójce, świętokradce... pod krzyżem... dziecko... gołąbka moja biedna... (z łkaniem i jękiem). Zabita... zabita... O...

HANKA (nagle, z wybuchem radości woła). Ona dycha... kiej żyje... Maryś żyje... O la Boga... Pietrek... dycha... żyje... żyje... (Pietrek rzuca się, dzieci też zbiegają się, pochylają, nasłuchują).

MARYSLA (po chwili cicho, sennie). La Świętej Panienci... La Najświętszej... Zabijta se... Nie boli... nie... La Najświętszej... (zamyka oczy znów i mdleje, chłopcy nadbiegają z wodą w czapkach, zlewają ją, moczą szmatki, okładają głowę. Cisza, po chwili Marysia otwiera znów oczy, przytomniej).

MARYSLA. Matula... Kiej Matula...

PIETREK (porywa się energicznie). Do domu ją trza... do domu... Ale jak z nią?... Jak... Kiej słabiuśka taka... jak nieżywa...

HANKA (po chwili milczenia, z decyzją). Zróbta nosze, chłopcy... Zrób ta du-

— 33 —

chem... Wiecie — z gałęzi... Maryś le-
tka... Zaniesiewa... do domu...

CHŁOPCY (rzucają się w las, do drzew,
z przejęciem). Nosze... nosze... nosze...
duchem... gałęzie łamie... hej... (rozbie-
gają się).

GŁOSY (ze stron rozmaitych). 1) No-
sze... taj... nosze...

2) La Maryś... lekuchnej...

3) Zaniesiewa do domu... Zaniesiewa...

4) Kiej królowna se... pojedzie... poje-
dzie... (trzask gałęzi).

HANKA (pochylona). Tyś ożyła... Ma-
ryś moja... Maryś... Kiej patrzy... oczki
otworzyła... niezabudeczki te... Oj... Oj...

MARYSIA (cicho, jakby nie nie wi-
dząc). Ciemno tu... Straszno... Kiej słoń-
ka niema... co to?... I ptaszki se pomilk-
ły...

HANKA (czule, całując ją). Słonko
jest, Maryś... Pójrzyj... A ptaszki... po
Maryśce płaczom... Kiej biedula ty... zbi-
li niemcy... O jej... te podły psubraty...
bezbożniki... zbili... My—ich... poczkaj...
my—ich... te psy wściekłe... Maleńka mo-
ja...

MARYSIA (żałośnie). Matula... kaj
matula... (Zapada w sen jakby).

HANKA (smutnie). Znow kiej nieży-
wa... Zatuliła oczki....

(Chłopcy śpiesznie zbliżają się, niosąc zielone nosze, dziewczynki mają pęki kwiecica w ręku. Zniżają nosze, dzieci biorą i ostrożnie układają Marysię na noszach. Ciszsz, dzieci wzruszone, przejęte).

PIETREK. Cichojta... Ostrożnie... Cichojta... (trzyma nosze).

HANKA. Cichojta... Niech se myśli, że matula ją lula... niech se płynie kajsik... jak w niebo...

DZIECI. A lekutka... o la Boga... (niosą). Kieby piórko...

DZIEWCZYNKI (rzucają kwiaty na nosze). 1) Naści... masz... masz... 3) Biedula... maleńka... 3) Kieby ta ptaszyna boża... rozśpiewana... 4) Niech ta pachnie jej... kwiatuszki... niech... (Posuwają się długim szeregiem, wolno, skupieni, uroczyście).

HANKA (niosąc nosze). Zaśpiewajmy se... co... Nie boim se Niemców... nie... zbójce... niech tu psyjdom... niech...

GŁOSY (zawzięte). Niech ta... niech... pośmia... niech...

GŁOSY. Zaśpiewajmy se... Zaśpiewajmy... la Maryś biedna...

HANKA. "Boga Rodzico"... co?... Chcecie?... Dziewuchy, chłopcy... co?...

GŁOSY. "Bogarodzico" — tak... tak... Kiej zacznijta, Hanka...

(Hanka intonuje pieśń, powstaje chór zgodny, uroczysty. Idą wolno, śpiewając. Na zawrocie znikają powoli, głosy oddalają się stopniowo i milkną wolno. Zasłona spada).

Koniec aktu I.

AKT II.

Rzecz dzieje się na podwórzu, we wsi

(Murowaniec we wsi, ganek, dokoła drzewo, krzaki w kwiecie. Mimo idzie ulica prosta, szeroka, wysadzana drzewami, dalej widać dachówki domów innych. Z boku wystaje róg jakiejś szopy, przy której stoi wieśniak, robiąc gorliwie przy warsztacie, klepie kosy, narzdza gospodarskie potrzeby. Opodal stoi, pykając z fajki robotnik w bluzie fabrycznej, w głębi — na stopniach ganku szyje pilnie kobieta, młoda jeszcze, lecz blada, wymęczona, ubrana ubogo. Skrzyp drzewa, chrzęst żelaztwa — milczenie. Po chwili robotnik, wyglądający energicznie, twardo, ubrany w fartuch skórzany).

ROBOTNIK. A wy ta sobie klepiecie... i klepiecie... Dokupilicie gruntu, macie łąk do syta... A — szczęśliwości... Nie to, co nam — bezdomnym... harować, ta i harować... Niema, jak ziemia...

WIEŚNIAK (silny, rozłożysty, poważny, surowy). Ho, ho... dobrze to wam mó-

nić... (prostuje się). Urobiłem se i se potąd, napracowałem, naharowałem i mam — dość... Oj — i ziemia jest twarda... twarda... darmo se nie daje... Ot — już ta zbiełał włos, a uznojenia nie mniej, jeno więcej...

KOBIETA (cicho wzdychając). Szczęśliwiście, gospodarzu... już nie gadajcie... A syn to wam rośnie, kieby dębeczak... Chwat chłopak... Lada chwila — ot — do wyręki stanie, a ojcowizny nie zmarnuje... nie...

ROBOTNIK (z zadowoleniem). Ho, ho — nie! I z niemcem da se rady, a ziemi z rąk nie puści...

WIESNIAK (rozjaśniony, z dumą, wolno). Da se rady... da... (prostuje się). Twardy, jak i ja... (z troską i niepokojem). Tylko za gorący — kiej siarka... Strach mnie o niego chwyta — ot...

ROBOTNIK. A o co?... (spluwa). Kiej was strach obleciał Niemca?... Wstydź ta se... Na swoim siedzicie, na własnym... Nie wyrzuci was — nie ugryzie... psia jucha...

WIESNIAK (ze złym śmiechem). Zęby se połamie... Ziemia nasza od dziadów... Nie my tu przyślim, a on w cudze wlaźł... na cudzych śmieciach tyje, panoszy się... (spluwa i ściera ostro brwi).

ROBOTNIK. Wiadomo... panoszy się, bo zbój... A na cudzym, to se boi i wydziwia... psiakrew... A nam się czego strachać?... niema o co — i tyle...

WIESNIAK. Prawdać to — prawda... (po chwili z troską). Ale mi dziecka żal... ponieważ se tam — w tej ladajakiej szkole... A musi...

KOBIETA (z bólem). Oj, szkoła ta... szkoła... Serce krwią się oblewa, jak pomyśle... Maryś moja... takie to niemocene... chncherko... o, jej...

WIESNIAK (z powagą). Nie bójcie se... Nie dadzom ta jej nic złego zrobić... Zwierzem być trzeba, by takie to maleństwo... słodkie, łagodne... a...

KOBIETA (ociera szybko oczy, cicho). Sieroty — my... Ni ojca — si dobytku... Ot kątem — póki sił... i ten — jaki taki — zarobek... A jak tego nie starczy...

WIESNIAK. Bóg miłosierny...

ROBOTNIK (chodzi energicznie, po ch. posępnie). Ot — Miłosierny... Co ta... Kiej sobie człek sam nie doradzi — kiepsko mu... (spluwa). A my ta bezrolni... bez jutra... No — póki sił... a ręce jeszcze twarde i karki tyż... ale co dalej... (śmieje się zgryźliwie).

WIESNIAK. Dorobicie się... Młodzieńście... zdolni, silni...

ROBOTNIK. Dorobimy się — a jakże.. Kalectwa, a bo tyż ślepoty... Bajać — bajom... ale nie ta jeszcze nie uradzili i nie dali — ubezpieczenia żadnego... (chodzi, pyka — milczenie; z z daleka dochodzi rosnący śpiew dzieci. Kobieta zrywa się nagle, słucha, sztywnieje, po chwili).

KOBIETA. Słyszycie?... (bez tchu prawie). Co — to?... Dzieciaki nikiem...

WIEŚNIAK (masłuchuje też, wolno). Ot — zdawało wam się...

KOBIETA (siada znów, chwyta nerwowo robotę, ale ona wypada jej z rąk, po chwili głosem zdławiony). Boże mój... Boże... tak mnie się dziś cknę... Kieby boli coś, a płakać się kce ciągiem... (ociera oczy). Maryś moja... Maryś... (próbuję szyc — cisza; po chwili dolatuje śpiew wyraźniejszy, żałosny, kobieta chwyta się za głowę). Słyszycie?... Czemu oni tak śpiewajom?... Nieszczęście jakieś... czemu żałosliwie tak?... (milczenie).

ROBOTNIK (zamyśla się, po chwili). A... prawda... mówili dziś na fabryce... co dzieciśka buntują tam w szkole... była jakaś awantura podobno.

KOBIETA (rzuca się naprzód). Była... Panno Najświętsza... czuła to dusza moja... czuła... (chwyta się za głowę, za piersi, rzuca się). Maryś moja... Aj... oj... dziecko moje... Maryś... (chce biedz).

WIESNIAK (nakazująco). Uspokój-ta se... Czego... Mało co gadajom... Przecie zobaczym, co tam może być... nie zjadły se dziecka niemczaki... (twardo) nie pośmieją... Kiej...

ROBOTNIK (nienawistnie). Co tam... Oni wszystko pośmieją... Psiamać... plu-dry... ździercy... burzuje...

(Śpiew zbliża się, rośnie, wszyscy stają bez ruchu i słowa. Po chwili z za drzew uka-zuje się pochód, idący wolno, uroczyście. Ro-botnik wpatrzony, podnosi rękę, wieśniak o-piera się na kosie zdumiony. Kobieta ukry-wa głowę w ramionach i zawodzi rozpaczli-wie).

KOBIETA. Maryś moja... Maryś... gdzie ona?... gdzie?... O la Boga...

(Pochód rozwija się i wkracza z ulicy w podwórze, na noszach zielonych, wśród kwie-cia nieruchoma postać Marysi, oczy zamknię-te. Obaj mężczyźni w nagłym przerażeniu o-glądają się w stronę kobiety).

OBAJ (głosem zdławionym, podcho-dząc szybko). Co — to?... Co—to?

(Dzieci nosze spuszczaają, śpiew milknie — cisza, po chwili).

WIESNIAK (pochylony nad dziec-kiem). Co się stało?... Gadajta... Pobili—psubraty...

DZIECI (jedno przez drugie). Pobili... pobili... ledwie zipie...

PIETREK (przyskakuje do ojca, błyskając oczami). Niemcy... Zbóje... rozbójniki... Tatulo — pomścijmy... zbierzma se... Pobijta ich, tatulo...

WIESNIAK (surowo). Cichojta... Do kryminału chcesz?... Zasio... (ostro) Starych uczyć będziesz... A pójdiesz... Dobiorę se ja do ciebie... obaczysz... Już ja coś tam miarkuje... urwaniec...

PIETREK (skonfundowany, ale buntowniczo). Tatulo, kiej oni...

OJCIEC (groźnie). A będziesz mi przecie raz cicho... (pochyla się do dziecka).

MARYSIA (otwiera oczy, jękliwie). Matula... Kiej matula... (cisza).

(Wszyscy patrzą w stronę kobiety, która stoi dotąd z głową w ramionach, naraz budzi się, odślania twarz, rozgląda się i z nagłym krzykiem biegnie i rzuca się do dziecka).

KOBIETA. Maryś... O... kiej dziecko moje... Maryś... Co tobie?

MARYSIA (wyciąga ramiona, z jękiem łez i bólu). Matula...

(Kobieta dotyka głowy jej, ciała, rąk, unosi, jak nieprzytomna, jęczy, płacze, tuli, głosem przerywanym).

KOBIETA. Dziś czuła dusza nieszczęścia... Maryś moja... czuła... Mów ta... co ci oni zrobili... mów... ta powiadaj... dziecino moja... powiada!... (tuli). Skarb mój...

jedyna... oj, moja ty... moja... (całuje ją, pięści, naraz rzuca się w tył, omal nie pada, błędnie). Krew... krew... (pokazuje ręce swe, palce, ociera usta — z grozą). Krew... na ustach dzieciny mojej — krew... a... a... a... (opada).

DZIECI (pomieszane, jedne przez drugie). Niemcy ta... niemcy... nauczyciel... odmieniec... Zbili jom... skatowali... za modlitwę... za polskom... naszym... pod krzyżem...

KOBIETA (dźwiga dziecko, straszna, groźna, oszalała). Krew... krew... (pomagają jej starsze dzieci i razem unoszą).

MARYSIA (cicho, słodko). Cichojta, matuś... już z tobom... dobrze mnie... dobrze... To... la Najświętszej Paniienki było... La Najświętszej... Cichojta... matuś... (Cisza, kto płacze z dzieci cicho, kto wzdycha, nisko opuszczają głowy; odchodzą z dzieckiem, znikają w domu).

ROBOTNIK (wzburzony, do wieśniaka). Naści — niema... nie pośmiejó?... Naści... ha... Zabili dziecko... skatowali... masz ta...

WIEŚNIAK (ostro). Pietrek... (ten staje). Co tam było?... Jak?... Powiadaj... A prawdę... bo cie nie pożałuje, kiej se okaże... pamiętaj...

PIETREK (z mocą, śmiało). Prawdę powiem, kiej Bóg na niebie, tatulo... Nie chce-

liśmy pacierza niemieckiego... (mocniej, pro-
stuje się i patrzy po dziociach). Nie chcieliś-
ma?... tak — co?...

DZIECI (chórem, z mocą). Nie chcieliś-
ma... Nie, nie... I nie będziwa...

WIEŚNIAK (niby srogo). Kto was nau-
czył tego?... Skrzaty... gadajta... Kto?...
(do robotnika). Widzieliśta?...

PIETREK (twardo). Nikt... Kiej ojco-
wie mówiom ta polski pocierz, to i my tyż chce-
my — polski... ot... (hardo). My tyż — gro-
mada.

(Wieśniak z ukrytą dumą spoziera na sy-
na, zamieniając z robotnikiem spójrzzenia, ten
uśmiecha się z radością ukrytą).

WIEŚNIAK. No... i cóż ta nauczyciel?..

PIETREK (z pogardą). Odmieniec...
Sprął mnie... sprął Bartka, sprął Hanke, Sa-
lusię... Ignasia, Wikte, Zyga... no i nic...
(śmieje się zjadliwie). I — nic... Aż go roz-
bolały ręce — nie żałował se... prał... No i...
nic... nie mógł ta więcej... Cha, cha...
Rzekł, kaj musi być — niemiecki... A my —
kaj polski... Zabraliśwa se i poszli...

ROBOTNIK. No... no... A Maryś?...

PIETREK. Zaraz... Poszliśwa do dom—
bez las — pod krzyż... (zmieszany nieco). Słu-
chaliśwa tam... coś nie coś... ptaszków... po-
łożyli se w trawie... (urywa nieco stropiony,
ojciec bierze go za ucho).

WIEŚNIAK. Ja ci, trutniu... (niby z gniewem). Do nauki — zasie... kiej do ptaszków ochota... (syn całuje go w rękę).

PIETREK. Kiej minutkę, tatulo... Słonko tak prażyło... Potem Maryś zaczęła śpiewać do Najświętszej Paniienki... My — tyż... I se śpiewamy, śpiewamy... A tu z lasu, kiej wilki — nauczyciel, strażnik i ten jeszcze... ten... gruby niemiec... kiej se nie rzucom na nas, nie zacznom bić, wymyślać, rozganiać precz...

HANKA (przerywając). Maryś nie chciała uciekać z nami... Ciągnęłam jo... Nie chciała... modliła se ciągiem i śpiewała, kiej ta gołąbka mała...

DZIEWCZYŃKA (z gromady, wyrywając się). Widziała... kiej ta prali jo we dwóch... niemcy... objęła se krzyż ronczkami, a oni orderwali jo, włoczyli... i zbili... na śmierć zbili...

ROBOTNIK (zajadle). Psiamać... Rozbójniki... psy... (probuje rąk, przeży mięsie). Takby ich sprać... takby zbić za te dziecińską krew i mękę... (chwila milczenia, po chwili wieśniak chmurny, surowo).

WIEŚNIAK. Rozchodź się do dom, dzieci... Słysz... do dom... Jenzorów nie rozpuszczać, trzymać w gębie... Nie wasza rzecz, słyszeliście?... Starszeńska to... Co uradzim — to i będzie... A teraz — sza... do dom... do roboty... nie rajcować... (dzieci rozcho-

dzą się cicho, bez słowa. Po chwili z domu wybiega kobieta, jak oszalała, mówi bez tchu, błagalnie).

KOBIETA. Ludzie... oj ludzie... dochtora... ratunku... dziecko mi zamrze, umiera... zlitujcie se, ludzie... (łamie ręce). Krew... znów krew... O Przenajświętsza... Boże Miłosierny... Maryś moja... Maryś... dziecko...

ROBOTNIK (z pośpiechem). Dyć zaraz dochtor będzie... w mig... Uspokójta se... pomoże... (biegnie, znika; kobieta łka, jęcząc cicho rozpaczliwie).

KOBIETA. Boże mój... Boże... Ot dola przekłeta... dola... Sieroty my... biedne...

WIEŚNIAK (łagodnie). Uspokójta se, Hanno... Dyć jest jeszcze Miłosierdzie... Poratuje was Bóg, ludzie... Zobaczycie... Może się co poradzi... (po chwili). Macie lód? Słyszał ci ja, że pomaga... Co nie macie? (ona przeczy). W mojej piwnicy... idźcie tam... poszukajcie dobrze w słomie... może jeszcze jest... śpieszcie... (kobieta biegnie, wieśniak idzie do domu, tam znika. Po chwili wolno, ostrożnie wchodzi na scenę, rozglądając się — nauczyciel i strażnik. Miny nadęte, nasrożone, aroganckie. Przez scenę, níc nie widząc, przebiega Hanna z lodem w ręku i znika).

STRAŻNIK (nasepiony, ciszej). Brzydka sprawa... brzydka... Mała może zamrzeć... Co — wtedy?... A... Polskie gemby na cały

świat rozniosą... Verfluchtes Volk... Verfluches... O... Gott...

NAUCZYCIEL (pogardliwie, spluwając). Nie zamrze... wyliżę się... to polskie nasienie niemrawe... Pfuj... (pluje). Tymczasem hardo stawić się trza... nastraszyć... Z góry traktować to bydło, żeby se rogów przytarli... Donner, Wetter... To im powyrastało... powyrastało... nawet małe pludraki buntują się... Słyszysz pan... Hoeren sie... (z pasyą). Buntują się... To — skandal... To niesłychane... Przeciwno wielkiej... die grosse, maechtige Vaterland... buntują się... (chodzi wzburzony).

STRAŻNIK (złośliwie i kpiąco). Che, che... Te pana dawne braty... takie psy... Ot... pan ich uczy... czemu pan ich lepiej nie uczy? Czemu pan z nich dobre niemcy, jak sam teraz — nie robi... Che, che... Czy panu to źle?... Taka wielka pensya i dodatki takie... I pan — nic... Che, che... Jeszcze krzyczy, narzeka... A dzieci buntują się, nie uczą... Che, che... ot...

NAUCZYCIEL (wściekle, pieniąc się). Dobry pan sobie... Spróbowałbyś sam... To nie dzieci... ich sage ihnen... (zaciska pięście) to — szatany... Wcielone, żywe, z piekła rodem — dyabły... Co ja z niemi mam... Aj... aj... A podstępne, a złośliwe... a twarde — jak żelazo... Ja myślę czasem, że nie ludzką mają oni skórę, a jakieś... lichy wie... dja-

belskie plemię... Zabij — a nie ustąpi... Porznij — a skakać będzie w kawałkach i mówić: nie, nie, nie... Nie dzieci to, a — szatany... Nieczysta siła w nich siedzi... czort wie... (chodzi).

STRAŻNIK (zamyśla się). To — prawda... Siła w nich jakaś zła weszła... Jestem tu już dawno, a nigdy takiego świństwa nie było... To wszystko stamtąd... von grosse Russland... Uważa pan... Tam — źle... rozumie pan?... oni stamtąd się uczom... von diese russische Polak... tak — to stamtąd... Verfluchtes Land...

Nauczyciel (gorąco). Tak, ja... ja... Stamtąd cała zaraza... (W drzwiach domu ukazuje się wieśniak, mierzy ich posępnie oczami. Nauczyciel ciszej, puszczając się). Idzie... hoeren sie... Ostro... Chłop się złęknie... trza z nimi, jak z bydłem... Od kija... twar-do... niech znają nas — herszaftów... panów, tu... so... (prostuje się hardo).

(Wieśniak stoi w ganku chmurny, bez słowa. Mierzą się ostro oczami. Po chwili niemcy podchodzą bliżej wolno, z powagą i butą, pozdrawiają).

OBAJ. Guten Tag... Guten Tag... (niby się uchylają).

WIEŚNIAK (twardo, chłodno). Pochwalony... (Milczenie schodzi do nich powoli).

NAUCZYCIEL (mierząc go wzrokiem z

podelba). Mamy tu do was sprawę... Brzydką sprawę... o wasze dzieci... o chłopca...

STRAŻNIK (z naciskiem). Zła sprawa... niebezpieczna... Przeciwno Reichstag... przeciwko Majestaet... (ostro). To bunt polski... To — kryminał...

WIEŚNIAK (ostro, twardo, hamując się). Kryminał — tak... My to wam powiadamy... Kryminał... bo dzieciaków my nam zabijacie... (urywa, po chwili, idąc na nich groźny, nie pając nad sobą). Za-bi-ja-cie... A... Co to? A że wam to wolno — zabijać?... I Majestaet pozwala?... Ha... może ta każe... co?... mówcie... Ha — ostrożnie... (głucho, spluwa i hamuje się nieco, przez zęby) by se nam nie sprzykrzyło...

NAUCZYCIEL (podskakując, wściekle). Co... co?... On — grozi... on... Styszy-cie... On... Hoeren sie... ten — cham... polski knecht...

WIEŚNIAK (jakby do siebie. Tfy... odmieniec... (głośniej, twardo). Nie żaden knecht... Mylicie se... Gospodarz se... polski chłop jezdem z dziada, pradziada... i nie odmieniec... U siebie tu jezdem... Słysz?... Ziemia to moja... rodzona... Nie zabaczajcie — proszę... A od przymówek — wara... dość... słuchać nie bedom...

STRAŻNIK (drwiąco). A to coście tak zhardzieli — od kiedy?... Co sie tam wam przywidziało?... Może polskie państwo — co?..

możo polskie króle?... Cha, cha... (obał się śmieją, po chwili). Tymczasem — nie przepomnijta... Musicie słuchać deutsches Reich... und deutscher Kaiser... so ist... so (uderza po rękojeści szabl).

NAUCZYCIEL (ostro). Nie przepomnijta, a jakże... bo deutsches Reich przypomni sam... Tu żartów żadnych niema... Polski król nie portuje, ani skóry dzieci waszych nie obroni, ani was samych...

WIEŚNIAK (ustawia się mocno w ziemię, patrzy twardo, wyzywająco). A co ta macie do mnie? Czem ja dla waszogo Reich ni dobry? A bo podatków może nie płacę? Rekruta nie daję? Prawa nie pilnuje — co? (po chwili ostro). Kłamiecie... (spluwa). Szyćko jest wedle tego jak napisane... (po chwili twardo, pochylając się ku nim): A wy?... Co... (uderza pięścią) Prawa nie pilnujecie... dzieci nasze wydziwiacie od psów... kaleczycie... Krwią polskom — polski paciurz polewacie... Ha... plud... (urywa wzburzony, odchodzi nieco, sapiąc).

(Przez scenę przechodzi szybko mężczyzna czarno ubrany, z torbą skórzaną w ręku, w średnim wieku. Wieśniak kłania się mu nisko, uprzejmie bardzo, ten śpiesząc idzie dalej).

WIEŚNIAK. Niech będzie pochwalony...

LEKARZ. Na wieki... Jak się macie, p. Macieju?... (obrzuca wzrokiem Niemców, którzy lekko uchylają kapeluszy).

OBAJ. Guten Tag... Herr Doctor... Guten Tag...

LEKARZ (znikając w drzwiach). Dzień dobry, panowie... dzień dobry... (Milczenie. Wieśniak odchodzi do swych narzędzi i coś tam robi).

STRAŻNIK (po chwili). No... no... to i wy, widzę, buntujecie... gospodarzu... Co to z tego będzie?... Aj... aj... nie dobrego...

NAUCZYCIEL (twardo). Wy — jako ojciec — po naszej powinniście stać stronie... po stronie porządku, wadzy... (wieśniak prostuje się i patrzy ponuro). No — a wy... ja widzę... wojny chcecie z nami... jak i te smutki — małe buntownicy...

WIEŚNIAK (ściąga brwi). Ni wojny, ni buntu żadnego tu niema... i my nie chcemy... A do polskiej modlitwy — wam zasie...

NAUCZYCIEL (urągliwie). Zobaczymy... Złamiemy wasze twarde karki... i będzie tak, jak rozkaz jest... (z naciskiem) z góry...

WIEŚNIAK (chmurnie, z decyzją). Jest prawo jeszcze ta w Berlinie... do tronu... tam pójdziemy... musi ta być...

NAUCZYCIEL (j. w.). A idźcie że... idźcie... Zobaczymy, co wam ta dadzą... jak potraktują... Cha, cha... idźcie... Hoeren sie... My lepiej wiemy, co w Berlinie myślą..., (po chwili ostro). Powiadam wam — z góry... rozkazy mamy — z góry... Ot co... rozumiecie?

WIEŚNIAK (zdumiony, opuszcza ręce, patrząc na obu). Kłamiecie... To nie może być... taka straszna krzywda... nie może...

STRAŻNIK (z naciskiem i powagą). Tak... pan nauczyciel mówi prawdę... Ja... Ja... W Berlinie z wami żartować już nie chcą... zanadto zhardzieliście — słyszycie... i będzie źle... tak...

WIEŚNIAK (zapatrzony w nich, nieruchomy). Jakto... i wy to mówicie... prawda... La polskiego pacierza zabijać dzieci, katować... Jakto... I to ma być prawo... rozkaz z góry?... Od Majestaet — mówicie... La polskiego pacierza dziecku zabijać... (zasłania sobie oczy). I to wielki Reich... Silny Majestaet... A... a...

(Niemcy zamieniają spojrzenia trochę niepewne — cisza. Po chwili nauczyciel sroży się i nadrabia miną, surowo, z góry).

NAUCZYCIEL. Nie urągajcie nam... nie wydziwiałcie władzy... Wy zwłaszcza... to wam mówię — wy... Maciej Zych... (wieśniak jakby się budzi i wsłuchuje, on dalej z naciskiem). Bo wasz syn — najgorszy... On — przywódca, podszechuwacz... ozornik...

WIEŚNIAK (chmurnie). Co wam zrobił — mój syn? — Uczy się dobrze... Pierwszy on w klasie... nie spóźnia się... nie próżnuje...

NAUCZYCIEL. Ha — tak... Zdolny bestja... Ale też i pierwszy do wszystkiego... Wiem dobrze... On namawia, podburza...

(wpada stopniowo w pasję). Stawia się twar-
do, choć go zabij... A za nim — wszyscy...
(rzuca się). On mi całą klasę buntuje... on—
podżegacz... rozbójnik... Ja przez niego zdro-
wie stracił... i pluję — krew... Ja — krew...
Tak... przez niego umrę... suchoty mam...
Wściekła to bestya ten chłopak... A... a...
(chwytą się za głowę).

WIEŚNIAK (tłumiąc zadowolenie, pochy-
la się i zabiera się do roboty, mówi spokojnie,
chłodno). Co robić?... Już on taki jest od ma-
leńkości... Ja też go złamać nie mogę... Twar-
dy już — i niema na to żadnej rady... (usta-
wia się do piłowania deski).

NAUCZYCIEL (rzuca się ku niemu, z pa-
sją). Niema rady — mówicie... Niema ra-
dy... A wy wszyscy — buntownicy... psy...
oszusty... Niema — mówicie... Ale — bę-
dzie... (staje przed nim, wściekły) będzie...
Jak ze szkoły wyrzucą... Do poprawczej — ar-
restant Shule oddadzą... (wieśniak drgnął na-
gle, ręka opadła, stoi — jak rażony). Ja... ja...
odbiorą wam, daleko wyszlą... ho, ho... mają
już oni tam na takich radę... i sposoby też
mają... Zrobi się, jak baranek... nie pozna-
cie... skórę mu zmieniają... rodzony ojciec nie
pozna... O la, la... będzie on, jak baranek...
jeszcze będzie... Zobaczymy... (odchodzi,
śmiejąc się dyabelsko).

WIEŚNIAK (budzi się naraż, przeistoczony,
groźny). Hola... Co powiedzieliście?... O

przeklętej shule mówiliście... o arrestant shule... (uderza sickierą w pieć, aż drzazgi lecą). Hola... Jak śmiecie?... A kto mi dziecko moje ma prawo wziąć? Kto przemocom odebrać?... Moja krew i kość... Kto?... Nad dzieckiem ma prawo tylko... (podnosi w górę rękę). Bóg i ojciec... (następuje na nich zleka, niemcy się wolno cofają). Co powiedziliście?... Co?... Mój syn... Albo on kryminalista... zbrodzień jaki... rozbójnik?... (naruszając, głos mu się łamie, drży). Dziecko to... Dziecko jeszcze słabe... Co za swoją mowę i pacierz ginie... dziecko to... (naruszając z wybuchem, nie panując już nad sobą). A — wy... A — wy... rozbójniki... męczyciele... bez Boga i sumienia... Używacie kija... w kij wierzycie... Ha — pokara was Bóg... nienawistniki... Prześladowacie nas za nasze prawo, za prawdę, za sprawiedliwość... Hola... (odrzuca sickierę). Nie boimy się was... Za nami — Bóg!...

NAUCZYCIEL (oddalając się, groźnie). Ho, ho... popamiętajcie nas... zobaczycie... A jeśli nie złamiecie syna — powtarzam wam — to my go złamiemy... Ho! ho... I pójdzie on w nasze ręce — ten polski, wściekły pomiot... i zmienimy mu skórę... zmienimy... (staje na zakręcie drogi i śmieje się pogardliwie, z daleka).

WIEŚNIAK (rzuca się ku nim, jakby tracąc przytomność). Nie zmienicie... Mój syn...

moje dziecko... Nie dam go wam... nie dam...
przekleństwo... (Niemcy, śmiejąc się urągliwie, znikają wolno).

NAUCZYCIEL. Weźmiemy... Siłą zabierzemy... On — nasz... nasze prawo... Hoch — Deutschland!... Łamać buntowniki... Dla dobra Vaterland... dla chwały Majestaet... łamać — hoła... popamiętacie nas... —

WIEŚNIAK (po ich odejściu, stoi chwilę bez ruchu, potem zatacza się, z jękiem). Ha — prawo ich... Tak... (z rosnącą grozą). I siła ich... (po chwili). I gdzie ratunek?... (zaciśnięta ręce). U kogo?... I kto zasłoni? Kto?... (wyciąga w górę ramiona, gł. nabrzmiałym). Przenajświętsza... Ty... (ręce mu opadają, postać kurczy się, garbi, zasłania twarz, tak stoi złamany. Po chwili prostuje się naraz, jak sprężyną ruszony, znać w nim grozę, ogląda się błędnie prawie naraz woła głosem ogromnym, strasznym). Pietrek... Sam — tu... Pietrek... do mnie... tu...

(Na wołanie to wbiega przerażony, drżący Pietrek, staje przed ojcem, bez słowa. Mierzą się obaj oczyma przez chwilę, zapatrzeni w siebie, bez tchu prawie, po chwili ojciec znów ciszej, głosem zdławionym).

— Pietrek... Sam — tu... do mnie...
Pietrek... słysz...

(Chłopak rzuca się do kolan ojca, obejmuje je, tuli, ciśnie. Ojciec podnosi go, w objęcia chwyta, zdaje się miażdżyć. Syn cicho ję-

czy i chlipie, ojciec głosem urywanym).

— Syn mój... Syn... Dziecko moje... Nie wyrwą mi... nie wyrwą... psiekrwie... chyba z duszą... Na pohybel im... na pohybel... (dyszac ciężko, wypuszcza syna, ten osuwa mu się znów do kolan, cicho, głosem urywanym).

PIETREK. Nie bójcie se ta, ociec... O mój ociec... Nie damy se ta... przysięgam... nie damy... Imć mi oni nie zrobiom nigdy...

WIESNIAK (głucho, trzymając rękę na jego głowa). Dziecko...

(Podczas słów chłopca wyszedł na ganek lekarz i stał słuchając. Następnie zbliża się i kładąc rękę na ramieniu gospodarza, mówi wolno, z powagą, uroczyście prawie).

LEKARZ. Uspokójcie się, p. Macieju... Nie bójcie się ich pogrózek... Za wami — naród... Słyszycie... Za niemi — dziećmi — co o język swój walczą — Polska cała... Zrozumiejcie... Prawo nasze — święte... Zwyciężymy (podnosi rękę)...

PIETREK (co był wciąż u kolan ojca, porywa się, jak natchniony. Oczy błyszcza, ręce preżają się i wyciągają, usta śmieją się z zachwytem, gorąco, z siłą). Zwyciężymy... Ociec... Prawo nasze... nasze...

LEKARZ (z mocą). Tak — prawo nasze... Bóg z nami...

WIESNIAK (odzyskując hart, z mocą). Rzekliście, panie... Nie damy se... nie...

PIETREK (chwyta i całuje jego rękę). —
Nie... ociec... nie... nie...
(Zasłona spada, koniec aktu II)

AKT III.

Odsłona I.

Dzieci, kobiety, mężczyźni, strażnik, tłum
niemiecki, palicja, nauczyciel.

Plac pusty, zadrzewienie z jednej strony,
po drugiej sztachety dziedzińca i okna na plac
ten dużego, murowanego budynku. Okna zam-
knięte szczelnie gdzie nie gdzie górne części
podniesione. Słychać szmer dziecinnych gło-
sów po chwili wypada na plac grupa chłopców
i dziewcząt z dziedzińca, za sztachetami. Cofa-
ją się, znów się ukazują — trwożne, spłoszo-
ne. Po stronie przeciwnej, pod drzewami, cho-
dzi strażnik, dający na wszystko pilne bacz-
nie. Gdy on się przybliży — dzieci znikają,
gdy się oddala — ukazują wnet. Znać tajem-
niczą znowę — szepty, porozumiewanie się.
Grupa dziewcząt wychyla się szybko na plac,
podniecone, zgorączkowane.

HANKA (rozogniona). Zaraz przyńdzie
ta męka... (zaciska ręce). Nie dajmy się...
Pamiętajcie... (ostro). Kto się ulęknie —
zdrajca...

GŁOSY DZIECI (oburzone, przejęte, ciszej). Zdrajca... zdrajca... Z nami będzie ta miał sprawę... popamięta... (wygrazają).

GRUPA DZIECI (nadbiega na ostatnie słowa). Z nami... z nami... O... la, la... popamięta kiej... ho, ho... (rozlatują się).

(Po chwili wysuwa się inna grupa dzieci młodszych, drobnych, zbiedzonych i zaleknionych. Tulą się do siebie i milczą).

CHŁOPAK I. (do sąsiada). Boita se... co... (ciszej). I ja tyż... i ja... (drży) ciarki idom... A niemiec zły... O la Boga... kiej zły... ja widziol...

CHŁOPAK II. Bogać tam... psiajuchy piami łyska... kiej wilk... szykuje coś... po-haniec... Oj... oj...

DZIEWCZYNNKA (zbliża się, nasłuchując). będzie źle... on, będzie... (z drzeniem). A nie pozabija ta on nas... powiedźcie... zupełnie — na śmierć?... co?... (żegna się i coś szepce cicho).

CHŁOPAK I. Cichojta... Che, che... Dzieuchy se bojom... Che, che... (nadrabia miną). Czego ta?... Zedrze te skórę — kiej narośnie druga... che, che...

CHŁOPAK II. Bogać tam... psiajuchhy... Oj, dolaż nasza... dola...

PIETREK (wpada rozogniony, zatrzymuje ich). Trzymać się chłopcy... dzieuchy... trzymać... pamiętajcie... Niech se pies-niemiec połamie zęby... Nie bójta se... Nie zje...

a kto skóry pożąda — zdrajca... znać nie chcemy... wygonimy... Słyszeliście?... — Trzymać się... hej...

DZIECI (ożywione, chórem). Będziewa, Pietrek...

PIETREK (serdecznie, gładząc ich głowy). Wiem... wiem... Wy — małe zuchy... Skóra poboli — i przestanie... to — nic... A pamiętajcie... (podnosi w górę rękę, z siłą). Za naszym wiarę... za nasz polski pacierz... (Odbiega — milczenie; dzieci stoją, jakby zasłuchane, po chwili z wybuchem).

DZIECI (wyrzucają w górę ręce). Za naszym wiarę... Za nasz polski pacierz!... (z nienawiścią). Niemcy... pohańcy... kiej zobaczewa...

(Biegną za sztachety krokiem śmiałym, ożywione, przejęte. Zalega cisza, miarowo tylko chodzi strażnik, to znikając, to ukazując się. Po chwili słychać ostry głos z za okien, mówiący niezrozumiale, z naciskiem. Głos rośnie, staje się zawziętym, krzykliwym, strasznym. Rośnie zamieszanie jakieś, to milknie, to podnosi się. Na plac, ze stron kilka napływają kobiety, po kilka, typowo wyglądających. Poglądają nieznacznie, ze strachem, ku zamkniętym oknom, nasłuchują. Naraz rozlega się ostry krzyk, jak komenda, potem — cisza. Następnie rumor, stuk, krzyk nagły, znów krzyk rosnący, wrzask — dalej pisk, — płacz, jęki, rosnący w chaos i zamieszanie. Kobiety pło-

szą się, uciekają, znów wracają, wreszcie rzucają się, jak oszalałe, do okien, wstrząsają nie-
mi, uderzają w ściany, wyrzekają, płaczą, wo-
łają).

KOBIETA I. O la Boga — rety...

KOBIETA II. Dzieciska nasze... Małeń-
stwa...

KOBIETA III. Pozabijajom kiej... kiej
Maryśka Hannowa... (chwytą się za głowę i
przyciska do szyby, oraz uderza w nią).

KOBIETA IV. (z wrzaskiem). O ratujta...
ludzie... ratujta... Zmiłujcie się... ojco-
wie... ratujta... (biegnie i znika).

KOBIETA V (przy szybie). O la Boga...
Włosy lecom, kiej pierze... A bije to... a bi-
je... O la Boga... (osuwą się i łka).

KOBIETA I. (trzęsie ramami). Wywalić
okna... wywalić... Rozłamać drzwi... Po-
odbierać dzieciska... z urągania tego... kato-
wania...

WRZYSTKIE (rzucają się i stukają w o-
kna, ściany, natarczywie):

1) Przestańcie ta... a przestańcie, panie...
dość... dość...

2) Hej, panie... Słyszeliśta?... hej...

3) Rozbijem okna... wywalim ścianę...

4) A dyć dość... la Boga... Słyszycie...
A dyć dość...

5) Dzieciska nasze — nie wasze... Sły-
szycie... a...

5) Człowieku bez Boga... bez serca...
puść ta dzieci nasze... puść...
(Krzyk z wewnątrz domu i z zewnątrz,
płacz, jęki, wołania. Mężczyźni ukazują się z
bocznych ulic, stają, zaglądają, patrzą posep-
nie. Strażnik wbiega na widownię zasapany
podniecony).

STRAŻNIK. A to co?... Was ist?...
Got... Co to robicie?... Skandal... awantu-
ra... A prawa to nie znacie... Rozchodzić się
zaraz... Hoeren sie?... Rozchodzić... (po-
pycha, one się opierają, wyrywają). Co to?...
Nie słuchać... Ja każe do aresztu brać... Ja
będę policja wołać... Was ist?... W publicz-
nem miejscu... Hoeren sie... (odciąga na
stronę to jedną, to drugą, ale one wracają, la-
mentując. W głębi tworzy się grupa Niemców
i Niemek, która przedrwiwa, śmieje się, palca-
mi pokazuje, bawiąc się widowiskiem).

KOBIETY (jedna przez drugą, krzycząc,
rzucają się).

1) Nie... nie... nie rozpędzicie nas...
nie... nie...

2) Oddajcie dzieci nasze... Nie katuj-
cie... Oddajcie...

3) Pozabijacie... jak Maryś biedna...
Hannowa... rozbójniki...

4) Dzieci nasze... oddajcie... oddajcie...
słyszycie...

5) Niedoczekanie wasze... Oddajcie dzie-
cka... oddajcie...

6) Nie kcemy waszej szkoły przeklentej... nie kcemy... Wynośta se precz... z tom szkołom... dziecka nasze...

(Krzyk dzieci nie ustaje, one wstrząsają zajadło oknami, które otwierają się z brzękiem, dzieci na nie wskakują, kobiety chwytają je w ramiona, tulą, uspakajają płaczące, pobijane, okrwawione, jęczące. Lament, krzyk, zamęt).

KOBIETY (jedna przez drugą). 1) moje wy... moja... O la Boga... Jakto oko podbił... mało nie wysadził...

2) Dzieciuchna... kiej nieboskie... A... Zastrachane to, zbite...

2) Maleństwo moje... Chodźta... chodź... (uprowadza). Nie będzie ta już bił... Nie będzie... Nie damy psom pożywy... O rety... O dolaz...

3) Patrzajta, ludzie... patrzajta... Na ręku zemdłał mi biedneńki... ha... zbóje... (otaczają ją kołem, podtrzymują dziecko). Patrzajta... jak to zbił... skatował... krew... sińce... rana... o... o... patrzajta... (głosy oburzenia, zgrozy).

(Mężczyźni też podchodzą, surowi, posępni, skupieni. Płacz dzioci, zawodzenia kobiet, lament i zamieszanie).

KOBIETY (tuląc dzieci, jedna przez drugą). Cichojta... Cichojta... Nie damy już... Nie damy... Cichojta...

KOBIETA (trzymając dziecko). O la Bo-
ga... RetyN. Kiej zamrze mi... Patrzajta...
ledwie zipie... O... o... Blade, białe — kiej o-
platek... A...

GŁOSY (niemawistne to tu, to tam). Po-
hańce... Pludraki... Zbóje... Rozbójniki...
Tfu... Bezbożniki... (spluwają w stronę
stojących Niemców, wygrażają też, gdy tamci
śmieją się i łają).

NIEMCY (to tu, to tam z grupy). Che,
che... Polnische Phie... Che, che... Polni-
sche Schweine... So ein Scandal... Pfuj...
Pfuj... Pfuj...

STRAŻNIK (stracony, zziajany, nie mo-
gący dać sobie rady, rozpaczliwie). To wy-
tak?... Gut, gut... Zobaczymy... Wy bun-
towniki... Wy rozbójniki... Szkołę rozbija-
cie — szkołę... Dzieci zabieracie — he... W
biały dzień — skandal taki... Warten sie...
Ja... wam... Ja (gwiżdże przociągłe).

(Kobiety zabierają śpiesznie dzieci i szy-
kują się szybko do odwrotu. Niemcy śmieją się
urągliwie, wygrażają w polską stronę, polacy
mierzą ich oczyma groźnie i odchodzą).

POLACY (głosy to tu, to tam). Poczekaj-
ta, krzywdzicie... psubraty... Poczekajta...
Wasza siła... Ale przyńdzie i nasza... Pоче-
kajta... Zobaczewa... przyńdzie... (oddala-
ją się).

NIEMCY (za nimi wygrażając). Ho, ho...

STRAŻNIK (stracony, zziajany, nie mogący dać sobie rady, rozpaczliwie). To wy tak?... Gut, gut... Zobaczymy... Wy buntownicy... Wy rozbójniki... Szkołę rozbijacie — szkołę... Dzieci zabieracie — he... W biały dzień — skandal taki... Warten sie... Ja... wam... Ja (gwiżdże przeciągle).

(Kobiety zabierają śpiesznie dzieci i szykują się szybko do odwrotu. Niemcy śmieją się urągliwie, wygrażają w polską stronę, polacy mierzą ich oczyma groźnie i odchodzą).

POLACY (głosy to tu, to tam). Poczekajta, krzywdzicide... psubraty... Poczekajta... Wasza siła... Ale przyńdzie i nasza... Poczekajta... Zobaczewa... przyńdzie... (oddalają się).

NIEMCY (za nimi wygrażając). Ho, ho... Warden sehen... Verfluchte Kerl... Werden sehen... Polnische Schweine... Che, che...

(Napływają ze stron rozmaitych strażnicy, butni, zuchwali, patrzą za znikającymi. Niemcy rozchodzą się wolno, leniwie. Po chwili w furtce sztachetów staje nauczyciel — chwiejący się, podwiązany, zziajany. Opiera się, ciężko dyszy, patrzy na wszystkich urągliwie, zawzięcie. Niemcy skupiają się dokoła, nieco — posępni, chmurni. Plac opróżnia się zupełnie).

NAUCZYCIEL (pokaszlując j. w.) A, sind sie hier?... To — dobrze... to — pięknie... A oni porozchodzili się spokojnie... (z pasyą).

Oni — buntowniki... króyminaliści... zbóje...
 Ha... Oni bunt zrobili... Ja... dzieci pood-
 bierali... A wy — nic?... I ja jeden z nimi...
 Jen... Sam... Dla deutsches Reich... dla
 deutsches Vaterland... A oni nic... nic...
 Wypuścili ich... darowali... cha, cha... po
 głowie pogładzili... A... Donner, Wetter...
 nie daruję wam tego... nie daruję... (niem-
 cy poglądują po sobie chmurnie). Napiszę ra-
 port zaraz... w yim pobłażacie... doniosę...
 tą ręką chorą, jak złamaną... na tym polskim
 bydle... ale doniosę... napiszę... Ja... Hoe-
 ren sie... Do ministra... do Sejmu... do Ce-
 sarza samego napiszę, że wy im pomagacie...
 że wy ich współniki... Ja... że ja jeden tu...
 sam jeden tylko — dla deutsches Reich...
 Dla deutsches Vaterland zabijam się... unie-
 ram... ginę... ja... sam... ganz allein...
 ganz verlassen... ja... ja...

(Znika. Strażnicy stają w konsternacyi —
 milczenie. Po chwili strażnik pierwszy z pla-
 cu szkolnego, zgryziony).

STRAŻNIK. On doniesie... Gewise...
 Niema co mówi... Ich renne ihn... (splu-
 wa). Zła bestja... I jeszcze nam w Berlinie
 biedę robi... (milknie, chodzi, po chwili). No
 nie... Zum Teufel... Trzeba ten wyrok są-
 du na Zycha... prędzej... Verstehen sie?...
 Prędzej... To nas uratuje... Będzie znów
 harmider, gwałt... No i... Jakoś tam...
 (chodzi, po chwili. Donner, Wetter... Trzeba

te bunty polskie połamać, konieczne połamać... Hoeren sie... A to będzie źle... nam źle... Ja... Wyrok na Zycha trzeba prędzej... prędzej... Hoeren sie... prędzej... So ein Scandal... schrecklich... Pfuj... Trzeba to połamać... Ja... ja... wir muessen...

(Salutują się wzajem i posępni, chmurni rozchodzą się. Starszy wraca ociężałe, z głową zwieszoną, na posterunek. Cisza — pustka. Słońce świeci jaskrawo, kładąc długie cienie, ptaki świergocą, strażnik znów chodzi ciężko, miarowo).

Koniec odsłony I, Aktu III.

AKT III.

Odsłona II.

Zych, Pietrek, dzieci, Marysia, Hanna, Strażnik, Lekarz, wojsko.

(Polanka przed domem Zycha tak samo, jak w akcie II. Ze stron rozmaitych zbiegają się dzieci spocone, zbite, obwiązane, splakane. Kupią się w trwożną gromadkę, popatrują lękliwie na dom. Po chwili wpada Pietrek z przewiązaną głową, podbitym okiem, czerwony, zawzięty, tryumfujący).

PIETREK. A co?... Nie daliśmy se... Nie nam nie zrobiom... (śmieje się urągliwie). Obolały se go ręce od bicia, a głos se zerwał od krzyku... już tylko zipiał... Cha, cha...

A nam co?... Młoda skóra wyrośnie... wyrośnie... (do dzieci). Wszak ci nas nie pozabi-
jał... na śmierć... co?... (milczenie, młod-
sze chlipią).

CHŁOPAK I. (mały, skulony, jękliwie).
Tak mi grzbiet obył... o jej... kiej se pali...
jak w ogniu... jak w ogniu... pałke se na
mnie połamał...

PIETREK (gładzi go po głowie). Cichojta.
Nie mazać się... Wygoi (chlipie).

DZIEWCZYNNKA I. (mała, trzymając się
za głowę i płacząc). Kiej wszyćkie włosy wy-
darł... Jucha... A jak chycił w górę i rzucił
ta o ścianę... A... (kiwa się) to se dzwoni w
głowie... i dzwoni... i dzwoni...

CHŁOPAK II. A mnie tak ucho rozerwał,
kiej krew i krew... A boli... O la Boga... (ję-
czy). Kiej szum tam... jak wichura... jak
las...

DZIEWCZYNNKA II. A moje oko... kaj o-
demknę... nic nie widzę... A matuś moja... O
dolaż... (wybucha płaczem naraz).

PIETREK (nagle ostro, twardo). Nie ma-
zać się... Maryś chora... Cichojta... Boli,
boli... mazgaje... Wydobrzejecie... pocze-
kajta...

(Milczenie — dzieci cicho chlipią i jęczą
czasem).

BARTEK (starszy, stojąc przy Pietrku).
Dyć tak będzie zawsze? Jak myślisz?... Nie
ścierpieć nam tego... nie wytrzymać...

PIETREK (chmurnie). Ojcowie kiej poradzić muszom... Zobaczewa... (po chwili ostro, z wybuchem). A jak nie — to stać, stać... i stać... Choćby nam skórę zdjęli do kości — nichta...

BARTEK (po chwili zdecydowany). A dyć tak... Niema inszej rady... po niemiecku modlić się ta nie będziewa... to darmo...

GŁOSY (dzieci zawzięte, oburzone naraz). Nie... nie... nie... nie...

(Podczas ostatnich głosów staje w ganku Maciej Zych, obserwuje gromadę dzieci posępnie, one milkną i pochylają głowy. Zych skupiony zbliża się wolno, obchodzi gromadkę, zagląda im w twarz czasem, dotyka. Na syna nie patrzy. Pietrek stoi opodal twardy, zdecydowany, fanatyczny. Cisza. Drzewa szumią, ptaki ćwirkają, słońce leje promienie. Zych staje obok syna, ogarnia go spojrzeniem, znać walkę tłumioną. Syn wytrzymuje spojrzenie, po chwili ojciec ciszej, z wysiłkiem).

OJCIEC. Twoja to robota, Pietrek... twoja...

PIETREK (z naciskiem i mocą). Nasza... ociec... nasza... I taka już ona będzie... My ta nie ustapim... (dzieci jeżą się znacząco).

OJCIEC (po chwili j. w.). I co ta myślicie, smyki?... Ze niemiec może was pożałuje... opamięta se... nie pozabija?... Chuchraki... Myślicie, że ta sie zlituje... nie połamie kości... ze świata nie zzenie...

(Jęk dzieci ogólny, stłumiony — drżą z przerażenia i płaczą).

PIETREK (z namysłem i siłą). Dacie nam pomoc, oćcy... kiej inaczej nie może być... (łamie się jakby ze sobą, po chwili gorąco, z wybuchem). Wy nas obronicie... Za wiarę... za świętom... za naszą, oćcy... Za polskom, za świętom... (głos mu się łamie).

(Ogólny płacz dzieci, chlipywanie. Zych zasłania sobie oczy ręką, Pietrek, Bartek i jeszcze kilku rzuca się do kolan jego).

GŁOSY (zmieszane). Dacie pomoc... obronicie... Dacie... Wy — oćcy... Wy — nasze, rodzone... dacie...

(Ze stron rozmaitych nadbiegają kobiety, dźwigając, lub wlokąc poobijane dzieci. Gwar, zamęt. Na ganek wybiega i chwilę stoi, jak oszalała — Hanna, naraz rzuca się z krzykiem).

HANNA. O ludzie... ludzie... (łamie ręce). Ratunku... Chodź-ta... Pomóżcie... Maryś... moja Maryś... umiera... O la Boga... ludzie... ratunku... oh... dziecko moje... dziecina moja rodzona u-mie-ra... (osuwając się na ziemię, kobiety biegną do domu, inne ją otaczają, dzieci przerażone, ze zgrozą).

DZIECI (jedno przez drugie). Maryś... Maryś... Biedneńka... Umiera... kaj umiera... Na Boga...

(Dzieci biegną w popłochu, które na drogę, które na ganek. Zamęt i przerażenie. Zych budzi się jakby z ponurego osłupienia).

OJCIEC. Boże Miłosierny... umiera...
Słodką dzieciną... umiera... O Stwórczo...
gdzież ta ratunek?...

HANNA (porywa się z ziemi i siada, z wybuchem prawie szaleństwa). Umiera... Zabita... Dziecina moja białuśka... Kiej anioł —umiera... umiera... przez tych pohańców zabita... za wiarę... za świętą... za pa-cierz... O świętokradcy... zbóje... Przekleństwo... za krew dziecka niewinną... za moją białą gołąbkę... O dolaż moja... o dola... U-lituj się, Panie... Ulituj... ratunku... dziecko moje... dziecko...

(Pada znów na ziemię, tarza się, płacze, rozpacza. Jedną z kobiet, które stoją — jak o-słupiałe — pochyliła się ku niej łagodnie).

KOBIETA. Może jest jeszcze poratowanie jakie?... Hanno... Nie rozpaczajcie już tak... Nie zabijajcie siebie... Bóg litościwy, a może... Chłopcy... a skocz ta który po doctora... Słyszeliście?... W mig...

(Chłopcy odbiegają we dwóch. Drzwi do-mu naraz otwierają się, dzieci dźwigają z wy-siłkiem nieduży tapczan, na nim leżącą Mary-się bladą, ale uśmiechniętą, zapatrzoną w coś dalekiego. Skubie wolno prześcieradło, którem jest nakryta, ciągnąc jakby nitki długie, rwące się. Maciej Zych szybko zbliża się, pytając).

OJCIEC. Co — wy?... Co — wy?... Co robicie?...

PIETREK (dźwigając). Ona chce, tatu-
ła... chce... tak prosi... powtarza ciągiem:
do słońca... do słońca... Maryście trza powie-
trza... nieba... kiej kwiatków tych... (ury-
wa, po chwili dusząc w sobie łkanie). O Maryś...
biedna Maryś moja... biedna...

(Zych odstepuje wzruszony na stronę,
dzieci ustawiają tapczan w słońcu. Matka
zrywa się, biegnie, u tapczana pada, obejmuje
nogi dziecka, twarz chowa, łka).

MARYSIA (zapatrzona w niebo, gładzi
głowę matki, jakby sennie). Matus... matus...
O la Boga... słońce... kiej słońceko... Takie
ciepluśkie, żywe... Matus... niebo, ptaszki...
dobrze mnie... kiej dobrze... a... a...

(Ręce jej zwisają bezwładnie, przymyka o-
czy — cisza. Z pomiędzy drzew wybiegają dzie-
wczynki, niosą pęki traw i kwiecica, które skła-
dają na tapczanie).

DZIEWCZYNNKA I. Masz se, Maryś...
masz... kiej lubisz... ładne kwiatki... pik-
ne... to dla ciebie... masz...

MAYSIA (jakby budząc się, uśmiecha,
wolno, sennie). Lubię... lubię... nasze kwiat-
ki... nasze... rodzone... nasze... kiej zie-
mia, ta niebo, słonko... powietrze... la wszyć-
kich ludzi... la wszyćkich... O... święta Pa-
nienka... (zamyka oczy).

PIETREK (pochyla się nad nią, miękko,
głosem drżącym). Boli co ... Maryś... naj-
milejsza... powiedzta... boli?... Doktor za-

raz przyńdzie... Maryś... moja ty... boli?...
MARYSIA (wpatruje w niego, j. w.). Nic

to... nic... Dobrze, kiej dobrze z wami...
A... Pietruś... A ty czego... taki pobity...
obwiązany... biednieńki... ty...

PIETREK (zmiészany). Nic to, Maryś...
nic... to tak... tak sobie...

(Dzieci otaczają ją coraz bliżej, cisną się
wszystkie).

MARYSIA (patrzac po nich, łagodnie i
smutnie). Oni tyż... I oni tyż... Ja wiem...
O... biedne my... biedne... La krzyża... jak
ja... i wy tyż... La Przenajświętszej Panien-
ki... (patrzy w niebo uniesiona, cisza — wszy-
scy w nią wpatrzeni). O... Matka serdeczna...
Ona obroni was... obroni... (coraz sennej,
ciszej, jakby nieświadomie). Ja do Niej pójde...
poproszę za was... (wyciąga ręce). Obroni...
obroni może... kiej litościwa... O Przenaj-
świętsza... (naraż unosi się nieco, błagalnie).
Zaśpiewajta se społem... Zaśpiewajta... raz
jeden... jak wtedy... "Serdeczna Matko..."

(Opada i przymyka oczy, dzieci poglądają
po sobie, starsi też. Po chwili wszyscy uginają
kolana, wzruszenie ogólne, tłumiony płacz ci-
chy, chór głosów łączy się, wzmacza, rośnie,
drży skargą i bólem. Marysia unosi się lekko,
podpieraną silnie przez Pietrka, który tuż przy
niej klęczy. Naraz słysząc miarowy tupot żoł-
nierzy, na scenę wkracza mały oddział pru-
skich żołnierzy, ze strażnikiem na czele. Śpiew

mdleje, zamiera, przerażenie ogarnia tłum — cisza głucha).

STRAŻNIK (podchodzi do Zycha i podaje mu papier — on stoi skamieniały, rażony jakby piorunem). Wyrok Obergerichtu w sprawie waszego syna — Piotra Zycha... Czytajcie...

(Zych — ojciec — bierze papier ręką drżącą, bez słowa i bez tchu jakby. Pietrek powstaje z kolan i prostuje się, jak struna. Oczy jego nieruchomo wpatrzone są w ojca. Na scenę śpiesznie wbiega lekarz i staje nagle, zdumiony. Cisza).

MARYSIA (patrzy na obcych żołdaków z rosnącym przerażeniem i grozą, podnosi się nieco, narazą rzuca się w tył, z ostrym krzykiem grozy). Niemiec... niemiec... O la Boga... (patrzy i mówi błędnie). Ratunku... ludzie... Bijcie... bijcie... O... La Najświętszej Panienki... (coraz ciszej, chrapliwie). bijcie... o... zabijcie... la... la... Najświętszej... (milknie, wszyscy rzucają się ku niej, pochylają, lekarz dotyka głowy, piersi, matka zrywa się i staje straszna, sztywna, obłąkana prawie, wyciąga ręce ku niebu).

MATKA. O Maryś... Maryś... dziecina moja... Zabili... Zabili... O Chryste... (zaczyna się, pada).

LEKARZ (ciszej, uroczyście). Nie żyje... tak... Anioł ten mały... Serduszko biedne bić już przestało...

MATKA (w szaleństwie). Dziecina...
dziecina moja... zabili... (pada bez tchu).

LEKARZ (głośno, uroczyście wśród ci-
szy). Ofiara... Niewinna święta ofiara... za
prawo nasze... Za wiarę naszą... (zdejmuje
kapelusz, wszyscy czynią to samo, kobiety płą-
cząc pochylają nisko głowy, on dalej j. w.).
Cześć... cześć... I ziemi tej cześć, co takie
dzieci rodzi...

STRAŻNIK (ostro, wzburzony, pieniać
się). Wyrok... Czytajcie wyrok... Czekamy...
Hoeren sie...

OJCIEC (podaje papier lekarzowi, głucho).
Czytajcie, proszę was, panie... Sam nie po-
trafię tak dobrze... (ciszej) Nie mogę... kiej
szaleństwo mnie chwyta... (zaciska ręce).

LEKARZ (bierze papier, Zych wpiera się
mocno w ziemię, sili się, jak przed ciosem, le-
karz czyta gł. uryw.) Piotr Zych — syn Ma-
cieja — uczeń czwartej klasy szkoły elementar-
nej, we wsi Podhajce — za nieustanne burze-
nie dzieci, ostre stawianie się swej władzy, za
nieposłuszeństwo, zuchwalstwo, sprzecowianie,
za bunt przeciwko prawu szkolnemu, znieważa-
nie czynne, zwierzchnika, wygrażanie, zły przy-
kład i zaciętość — decyzją sądu pedagogiczne-
go w okręgu II. — skazany został na oddanie
do szkoły poprawczej rządowej — na dwa lata,
który to wyrok Obergericht potwierdził i nie-
zwłocznie wykonać go nakazuje — pod karą

twierdzy za sprzeciwianie się prawu. Dan dnia takiego... podpisany... prawomocny...

(Cisza. Po chwili lekarz, nabrawszy tchu, mówi wolno, tłumiąc wzruszenie do Zycha — ojca — który stoi straszny w swej skamieniałości z dziko rozszerzonymi oczyma).

LEKARZ. Przethumaczyłem wam wiernie, panie Macieju, wyrok sądu pruskiego co do syna waszego — Piotra...

(Pietrek stoi posepny, niewzruszony. Usta zacięte silnie, zaciśnięte palce — zdecydowany, gotowy, patrząc w ojca).

OJCIEC (wybucha stopniowo, nie panując nad sobą). Co to?... Co ... Czy ja oszalał?... Czy nie rozumiem dobrze ... Mówicie... (pociera czoło). Dziecko moje... Syn... dziecko rodzone... (naraż dziko). Ha... Pietrek... Sam — tu... Niedoczekanie wasze... (chłopak rzuca się, ojciec obejmuje go silnie i przyciska). Dziecko moje... Nie weźmiecie mi go... Zobaczewa... (groźnie). Probójta... Na...

STRAŻNIK (z oburzeniem i grozą). To — sąd... to — wyrok... To być musi... Słyszycie... Hoeren sie... To — prawo... A sprzeciwicie się — to kryminał... Zgnijecie w więzieniu... i syn wasz... i wy razem... Rozumiecie... co?...

LEKARZ. Rozumiemy, p. strażniku... Wymowy sobie oszczędźcie... Sługo pięknego, ludzkiego prawa waszego... Znamy je i bez

was... (odwraca się i przystępuje do Zycha, mówi łagodnie, z powagą i perswazją). A wy, p. Macieju... Wyrokowi poddajcie się... Ha... Rańdy niema... O syna nie bójcie się swego... On — dzielny... (kładzie mu rękę na ramieniu). Nie zginie i wstydu wam nie zrobi... A za nim — my... My wszyscy — słyszycie?... Naród cały, p. Macieju... Słyszycie... Za synem waszym, za dziećmi naszymi—naród cały... Do parlamentu pójdziemy... do Berlina... A nie, to do Europy całej... do ludzkości... Hoeren sie... (ostro i twardo do prusaków). Krzywdzicie... zabójcy... słyszycie... dzieci sobie porywać nie damy... Hej... pójdziemy wszędzie i sprawiedliwość znaleźć musimy... Sądy wasze naptętnujemy i prawo wasze hańbą okryjemy... Hańbą, co się nie wzdraga podnieść pięści nad bezbronną głowę dziecka... łamać święte prawa ojców... Słyszycie... Verstehen sie?... Nie — my, lecz wy okrywacie dziś błotem chlubne dawniej imię—niemca... Oplwaliście sami je przed światem i na hańbę wydali, budząc nienawiść ku sobie i pogardę...

STRAŻNIK (nie panując w końcu nad sobą). Herr Doctor... pan za to odpowie... Pan — sądy, pan — nas, pan — władzę publicznie obraża i łaje... Ja pana oskarżę... pan odpowie... zobaczemy...

LEKARZ (pogardliwie). A skarż pan... skarż... ile chcesz... Niema mocy, coby głos prawdy sdusić, stłumić mogła... Nie — ja, a

ona — ziemia ta — wyrok na was głosi... Głosi na świat cały, jak długi i szeroki... Zobaczycie... Hańba wam, hańba... A wy, zacny p. Macieju, siły zbierzcie, losowi poddajcie się... I dumni bądźcie... dumni — słyszycie... że syn wasz... i syn ziemi tej — za zdeptane jej prawo — w obronie stanął tak młodo i poniósł ofiarę... (kładzie mu rękę na ramieniu). Chłopcze... imię twoje obiegnie dzielnice polskie dalekie i bliskie... przykładem staniesz się i wzorem... Wytrwaj... bądź mężny... jak ojcy twoi i dziady...

STRAŻNIK (daje znak żołnierzom, twar- do, z wybuchem). Dość tego... Ruszajcie... Czyńcie waszą powinność... Piotr Zych — na mocy wyroku tego — należycie do nas... i z nami iść musicie...

PIETREK (występuje naprzód, niewzruszony, twardo). Jestem gotów... Idę... (po- chyla się nagle i przypada gwałtownie do kolan ojca). Ociec... tatula... dyć przebaczcie... Nie chciałem męki waszej... Dyć krzywda nam się okrutna dzieje... La Boga... Rety... Darujta, ociec... (tłumi rwące się łkanie prze- mocą, głosem urywanym). Darujta... prze- baczcie... tatulo mój rodzony...

ZYCH (prostuje się wolno, kładzie obie dło- nie na głowie syna, wznosi oczy w górę, mówi z mocą uroczyście). Idź, synu... Nie pohań- biom nas... (ciszej). Mój ty... mój... A nie bójta se... Ja z tobom... Synu... dziecko...

jak Bóg na niebie... wszędzie—ja z tobą...
(kreśli znak krzyża nad głową jego, żołnierze otaczają go śpiesznie i chmurnie, Pietrek wstaje i ogarnia wszystkich oczyma, po zgromadzeniu idzie pomnurem i jęknął).

GŁOSY (dzieci zapalne i jęknące). My z tobą tyż... Pietrek... My tyż... O... Nie bój się... Wyzwolimy cię... Wyzwolimy...

(Pietrek bierze wiązkę kwiatów z tapczanu Marysi, pochyla się nad nią i całuje, ociera łzy i tłumi jęk. Oddaje pokłon ojcu i zebranym, odchodząc otoczony).

PIETREK. Zegnajcie... A pamiętajcie...
(wyciąga rękę). Za wiarę świętą... za naszą... Kto — nie, ten — zdrajca... Zdrajca — pamiętajcie... Bóg z wami...

(Idą, oddalają się szybko, miarowy chód żołnierzy — za nimi idzie szybko, jak automat, Zych oszalały. Lekarz zastępuje mu drogę i kładzie ręce na ramionach, łagodnie).

LEKARZ. Panie Macieju... A — dokąd? Co będzie? Zostawić chcecie tę ziemię-sierotę? A kto ją obrabiać będzie?... Kto orać, młócić, obsiewać?... Zmarnieje u obcych... ta ziemia ojców — wszak matka wasza... Odchodzić od niej nie wolno... wróg weźmie, pohańbi... Nie uczynicie tego... nie... p. Macieju... nie...

ZYCH (stoi zasłuchany, bez ruchu. Zbiera myśli z trudem, po chwili chwyta się oburącz za głowę, głucho). Prawda... prawda... pa-

nie... Rzekliście... odchodzić — nie wolno...
nie... nie... (chwieje się w rozpacz, po
chwili z wybuchem). A on... syn mój... Pie-
trek... A... dziecko... sam jeden... tam...
wśród katów tych... zbójów... A... a...

LEKARZ (chwyta go za rękę, z mocą).
Obronimy go... Wyzwolimy... (do zebra-
nych). Ludzie... bracia słuchajcie... Podpisy
zaraz zbierać... delegatów śłać... wiece zwo-
ływać co rychlej...

ZYCH (gł. upadłym, z rozpaczą). Jedna
prawda u nich wszędzie... panie... Czy tu,
czy tam — w Berlinie — jedna, judaszowa, o-
krutna...

LEKARZ. To dalej pójdziemy i wyżej...
Są jeszcze ludzie inni... i jest sprawiedliwość
wyższa, nie berlińska... Rozumiecie? Jest ta,
co w sercach ludzkich wypisana na dnie... na
samym dnie... i żyć będzie, póki ludzie są i
ludźmi być nie przestali... Do tej sprawiedli-
wości zawołamy... Tej — o sąd prosić będzie-
my... A dusze i sumienia ludzkie nie te juda-
szowe — pruskie — świadczyć za nami będą...
i sprawiedliwość nam uczynią... Nie bójcie się,
p. Macieju... Świadczyć za nami będzie zie-
mia ta, od wieków nasza... i poległe w niej
kości praojców i prochy tych, co wołają dziś
przez te, słabe usta dzieci waszych... Nie da-
my się — nie! Dzieci te — skatowane, słabe,
wątłe — idą niezłomne, jak dziady ich — za
prawo swe i wiarę... Nie nam się bać... Na-

ród, co dzieci takie na świat wydaje—nie zginie... on do życia idzie... Ziemia, co potężne czyni dzieci małe i męczeńskie im na głowę wieńce kładzie — nie podda się i nie przepadnie... Nie żałujcie ofiar dla niej... dawajcie z ochotą... Za ból wasz, za mękę — zapłaci ona... wierna i święta... po wiek wieków nasza... błogosławiona... święta...

sza... I dźwignie może obrońców młodych i bohaterów (po ch., zapatrzony). Jak we śnie—widzą mi się zastępy takie... takie hufy ofiarników zbrojnych, co za krzywdy te straszne i ból nasz, mękę, łzy maleństw, rohańbienie ziemi tej — podniosą karzący swój miecz... miecz Chrobrych, Jagiełłów, Sołtyskich — za wolność i życie i prawa Ojczyzny święte...

(Pochyla się nisko, zdejmując kapelusz, rozpaczą. Jedna z kobiet, które stoja—jak osłupiałe — pochyla się ku niej łagodnie).

